

Rafał Pokrywka

Via Alpina

Z TRUPEM NA PARNAS (THOMAS GLAVINIC)

W niejednej rozprawie zataczającej kręgi wokół wymarłych, zdawałoby się, siedzib genologii pobrzmiewa prastara tęsknota za gatunkiem. Były bowiem czasy, gdy poeci pisali sonety a definicja powieści pikarejskiej nie nastroczała wielkich problemów. Hierarchie przypisywane gatunkom pozwalały, sądzono wówczas, na prawidłową ocenę wartości dzieła, tak jakby mogły one odgórnie załatwić (w dwojakim sensie: ukierunkować i unieszkodliwić) akt wartościującej interpretacji. W mitycznej przestrzeni niskiego i wysokiego, czy też w militarnych metaforach awangardy i ariergardy, chwytano fenomeny budzące dzisiaj niepokój i fascynację – niestabilne gatunki, których definicje zdają się wynikać z modelu lektury, a nie na odwrót. Przynajmniej zgodnie z przyjętym dzisiaj w pewnych kręgach modelem lektury lektur.

Pamiętam taką pracę pod redakcją wybitnego znawcy kryminału Jochena Vogta. Poczesne miejsce w tomie znalazła *Zbrodnia i kara*. Ciekawe, choć ciekawsze było, jak autor jednego z przyczynków omijał słowo „kryminał”. Dróg ucieczki było wiele, a stary Dostojewski pomagał jak mógł, nie chcąc dopasować się do zgotowanego mu losu autora powieści. W końcu stanęło na *Verbrechensdichtung* (poezja przestępstwa). Termin wdzięczny, pobrzmiewający wieloznacznością niemieckiego *Dichtung* (twórczość, fikcja, poezja), zagarniający w eteryczne obszary twórczości wysokiej plwocinę zła, brud z ulicy – przestępstwo. To dobry termin, dialektyczny, szkoda, że nigdy nie przyszedł mi do głowy, choćby przy lekturze *Postylli domowej* Brechta. A jednak coś tu nie gra. Przecież to w ogóle nie jest poręczne, nie określa niczego, zaciemnia i kokietuje. Jest to jakaś namaszczona hermeneutycznymi olejami egzaltacja literaturoznawcza, zapatrzona w autora, którego nie wolno pokrzywdzić niskim terminem, nie takim jak trzeba miejscem na drabinie literackich bytów, popularnym anachronizmem. Stąd pewnie ta ucieczka przed twardą pojęciowością. Nawet jeśli Dostojewski pisał kryminały, to tylko z naszego punktu widzenia, on sam o tym jeszcze nie wiedział, inne swym tworum przypisywał treści, z wyższymi zamiarami brał się za pióro, a zatem chylmy wszyscy kornie czoła.

Ironizuję, ale co tu robić? Każda droga zła. Jak wygodnie załatwiają to tacy Richard Rorty czy Jonathan Culler, dla których coś jest czymś, gdy ktoś powie, że tym jest. To kultura, relatywna i zmienna jak tylko może być zjawisko abstrakcyjne w skali masowej, decyduje o przyporządkowaniach gatunkowych. To jest bardzo wygodne i uczone zarazem, bo jesteśmy uczeni relatywności od kiedy tylko wpad-

niemy w łapy współczesnych kulturoznawców. Z literaturoznawcami, przynajmniej tymi klasycznymi w wersji „polonista” (vide *Dziennik Gombrowicza*) sprawa jest przynajmniej jasna, bo tam jeszcze epos narodowy, sokół Boccaccia, literatura pop etc. spajają przebrzmiały systemy gatunków. Tymczasem nam te literackie tablice Mendelejewa rozpadają się w rękach i nagle zostajemy z Dostojewskim od kryminałów i Flaubertem od romansów, ba! feministą, bo tak zdecydowało grono nieznanych nam bliżej, lecz zapewne uczonych arbitrow. Albo speców od reklamy. Albo wydawców. Albo dziennikarzy. Albo blogerów. Albo autorów.

Tych sędziów jest wiele i każdy ma coś do powiedzenia. Swego czasu Olga Tokarczuk określiła *Prowadź swój pług przez kości umarłych* jako „thriller moralny”. Co to znaczy? Jakies podziemne nawiązanie do *Traktatu moralnego* Miłosza? Głowiński rozumiał powieści Balzaka jako traktaty moralne, więc tu już trop bliższy, powieściowy. Co skrywa ten świątły kryptonim? Może nic? Może to tylko próba ucieczki przed gatunkowością, przepis na lekturę narzucony arbitralnie przez pierwszą interpretatorkę swoich własnych tekstów? Hasło „thrillera moralnego” steruje przeciw lekturą, nawet jeśli nic nie znaczy. Oto dzieło nabiera nieznannej dotychczas godności, zanurzone w oryginalnej i niepowtarzalnej polewie z thrillera moralnego odsłania absolutnie ekskluzywny bukiet użytych składników. „Kryminał” by spłaszczyl. „Kryminał” nie wart czytania głębinowego. Kryminał można przeczytać na lotnisku.

To paradoksalne, bo tzw. „gatunki niskie” po to właśnie wyszły przedwzorem z rynsztoków kultury, by zbawiać świat, uczyć czytania, myślenia, w końcu szarżować na kanoniczne problemy filozofii. Mówi się, że kryminał już nie ten sam, że nie o mord i śledztwo tu chodzi, tylko zło ukryte w człowieku, błędy systemu społecznego, demony przeszłości. W czerwcowych „Książkach” (2014, nr 2) Przemysław Czapliński dowodzi, że kryminał przejął rolę przypisywaną w XIX wieku powieści realistycznej, że te trupy w bibliotece i lokaje zabójcy, ten cały niewymyślny koncept rodem z Conana Doyle’a ustąpił nagle pod naporem krytyki społecznej, która nie jest już wymierzona w mordercę, lecz w system dający mu możliwość mordu. Tak to powieść kryminalna, która dotychczas nie obiecywała wiele więcej niż wieczorne dreszcze na plecach i kilka soczystych eskapizmów z cyklu „chciałbym być taki jak detektyw X”, odsłania się jako opowieść o złu, które opanowało człowieka i walka z którym, choć bez widoków na sukces, staje się sprawą społeczną i moralną zarazem. O narodziny zła w umyśle jednostki pytała swego czasu powieść filozoficzna, psychologiczna, w końcu powieść-esej, której siły nośnej użyczyła forma z pograniczu autobiografizmu i publicystyki. Niepostrzeżenie, i kwestią otwartą pozostaje tutaj, czy z woli autora czy odbiorcy, czy zmieniły się konwencje pisania czy modele czytania, niepostrzeżenie zatem obudziliśmy się (lub zasnęliśmy) z kryminałem w rękę jako świadectwem epoki, raz to budzącym dawne upiory, raz to szukającym inspiracji w degrengoladzie współczesności.

W literaturze języka niemieckiego zajaśniało w ostatnim dziesięcioleciu kilka tytułów, w których rzeczony mariaż wysokiego z niskim pod szyldem kryminału

chciwie werbował czytelników. Rzucić okiem na okładki książek, to zapewnia nam się tam połączenie rozrywki z (uwaga) refleksją, coś w stylu reklamy coli, którą podobno można pić do niedzielnego obiadu. Thomas Glavinic i jego *Der Kameramörder (Morderca z kamerą)* mógłby pod tym względem stanąć obok idealnego kilograma i nieskażonej sekundy jako eksponat w podparyskim Sèvres. Język dba tu o suspense najwyższych lotów i co ciekawe nie jest to cedzony przez zęby monolog zakochanego w swych bon motach pogromcy przestępców, lecz język potencjalnego sprawcy, nieokrzesa relacja przeciętnego ponad przeciętność zjadacza chleba i konsumenta telewizji. Wszystko opowiedziane niezręcznie i irytującą niemczyzną, nakarmioną żargonem policyjnych sprawozdań, co czyni tym większą perwersję autora, by w takich właśnie składniowych pałubach ująć historię wyrafinowanego i okrutnego morderstwa dwojga dzieci.

Cudownym zrzędzeniem losu nagranie z morderstwa trafia w ręce władarzy komercyjnej stacji, która (ubolewając zapewne, że nie mogła nadać relacji live) niezwłocznie postanawia wideo wyemitować, powodowana naturalnie współczuciem i pragnieniem niesienia pomocy rodzinie. Nasz narrator wraz z grupą przyjaciół zasiada w wielkanocny wieczór (przypadek?) do spektaklu:

Prezenterka powiedziała, że wideo zostanie za chwilę nadane. Najpierw jednak zostaną wyświetlone numery telefoniczne poradni psychologicznych do zanotowania. W razie gdyby ktoś po obejrzeniu filmu odczuł potrzebę porozmawiać o tym ze specjalistą. Usługa jest bezpłatna z wyłączeniem opłat telefonicznych maks. 0,97 marek za minutę. Po krótkiej przerwie reklamowej rozpocznie się wideo. Numery telefoniczne zostały pokazane. Krótka po tym wystąpiła kobieta, która przez swych dwóch synów obarczona zostaje zadaniem zakupu pewnej konkretnej, nadziewanej mlecznym kremem czekolady. Heinrich zauważył z niezadowoleniem, że ludzie w stacji się raczej nie spieszą. Zmienił kanał. Następny program relacjonował właśnie o demonstracji pod siedzibą nadawcy filmu. Mimo późnej godziny setki osób oblegały studio telewizyjne. Na transparentach były niewybredne obelgi. Na jednym dawano wyraz przekonaniu, że nadawca specjalnie zamówił morderstwo i zapłacił z góry za taśmy. Na kilku plakatach można było przeczytać snuff-świnie ew. snuff-zabójcy oraz pokazujecie snuff. Eva zadała pytanie, co znaczy snuff. Heinrich wyjaśnił, snuffem nazywa się filmy, na których nagrane są prawdziwe morderstwa i które mają już swój własny rynek zbytu. Słyszała o tym, powiedziała Eva. Po tym widać, jak chory jest już ten świat, zauważyła moja partnerka. Heinrich zaprzeczył. W średniowieczu obcinano publicznie głowy, i tłumnie zgromadzonej szacownej publiczności bardzo się to podobało. Nie jesteśmy lepsi niż ludzie wtedy. [...] O godzinie 23.58 ukazała się znowu gruba prezenterka. Wyjaśniła, że wideo się teraz rozpocznie. Ogółem otrzymano około 4 godzin materiału. Stacja telewizyjna pocięła go i wyświetli decydujące sceny, ew. sceny, które dają obraz całego zdarzenia. Znajdujące się ew. przed telewizorami dzieci i młodzież do lat 16 powinny zostać wyproszone z pomieszczenia przez uprawnionych wychowawców. Na to Heinrich wydał w żartach swojej żonie rozkaz wyjścia. Nie zostało to przyjęte przez Evę z humorem. Z sekundy na sekundę jakość obrazu na ekranie pogorszyła się. W prawym górnym

rogu cyfrowy zegar odmierzał czas. Przy pierwszej scenie pokazywał 0.08. [...] W pasku dolnym informowano: To nie jest film sensacyjny. To jest bezradna próba rozliczenia się z niepojętą tragedią. Heinrich powiedział, niewiarygodne, i sięgnął do miski z orzeszkami. Eva gryzła paznokcie. Tylko od czasu do czasu rzuciła okiem na ekran. Moja partnerka powiedziała, że nie może pojąć, iż ktoś coś takiego robi, jeszcze to filmuje, i że telewizja to jeszcze nadaje. Heinrich zrobił pst. Pokazał na ekran. Ukazał się las. Prowadzenie kamery było niespokojne. Kamerzysta poruszał się w określonym kierunku. Pokazano polanę, na której troje dzieci biegło bawiąc się w walkę na kije. Cięcie. 0.15. Wysoki, zniekształcony głos kamerzysty przekazał dzieciom, teraz, gdy już związał ich brata, nie będą chyba takie bezczelne, by podjąć próbę ucieczki¹.

O tym, że opowieść o okrucieństwie robi największe wrażenie, gdy jest przekazywana możliwie neutralnym tonem, wiemy już od markiza de Sade. Uczyła nas tego również literatura obozów. Styl neutralny może być jednak również narzędziem rozrywki, szczególnie gdy opowieść osnuta jest na śledztwie, do bólu klasycznym poszukiwaniu sprawcy, który kryje się gdzieś w zacieśniających się kręgach policyjnej obławy. Glavinic nie został przetłumaczony na polski², być może ze względów językowych, trudno bowiem w polszczyźnie sprostać mowie zależnej czy specyficznym konstrukcjom imiesłowowym i bezokolicznikowym, wyznaczającym w niemieckim granice stylu sprawozdawczego (unaocznia to powyższa wprawka tłumaczeniowa). Mało tego, Glavinic osiąga w języku niemieckim to, co udało się wykreować jego starszym rodakom (Bernhard, Jelinek, Turrini) jako znak rozpoznawczy literatury austriackiej – duszny, mroczny klimat, zrodzony z samego żonglowania syntaksą. W tej oprawie problem człowieka-konsumenta uwikłanego w medialne narracje do tego stopnia, by samemu uwierzyć w swoją winę, nabrzmiewa podwójnie. Egzaminem dla czytelnika będzie bowiem, czy zechce czytać dalej relację z nagranego spektaklu morderstwa, czy poczuje chorobliwe zainteresowanie momentem śmierci dzieci (skoki z wysokiego drzewa, szantaż), czy pokryje uśmiezek ironicznej krytyki społecznej rumieńcem złej fascynacji. Glavinic jest zatem podwójnie przewrotny – podsuwa nam przed oczy obrazy bezprzykładnych okrucieństw, budzi w nas zmysł krytyczny, protest przeciwko dehumanizacji, karmi świetlistymi ideami naprawy świata, a zarazem podszczypuje z boku, pytając: „Podoba ci się, prawda?”

Morderstwa dokonane rękami Raskolnikowa i Lafcadio Wluikiego były jednak wygodniejsze. Tu nie pojawiała się uczucie wstydu za samego siebie (który w odróżnieniu od wstydu za ludzkość trudny jest do wytrzymania), te lektury były i są pożywką do niekończących się, jakże uwznioślonych rozważań o morderstwie bez motywu jako pewnym stadium moralności jednostki. Uwznioślił je Nietzsche,

¹ Thomas Glavinic, *Der Kameramörder*, München 2011, s. 57–60. Tłum. R.P.

² Z tego autora tylko *Za sprawą nocy* (*Die Arbeit der Nacht*) w przekładzie Alicji i Jacka S. Burasów.

przydało mu godności miejsce autorów na literackim Parnasie, uświęciło uwielbienie nieprzeliczonych czytelników. Książka Glavinica nie podzieli tego losu, jest bowiem przewrotna, złośliwie mądra, odpychająca i niezdrowo fascynująca zarazem. Ukazuje podszewkę tego, co dziś już powszechne – żądę ciągłej aktualizacji rzeczywistości i uzależnienie od show. Morderstwom dokonany przez Glavinica na fikcyjnych postaciach brakuje tego subtelności tła, które pozwoliłoby pochylić się nad dziełem z erudycyjną zadumą. To już nie są morderstwa filozoficzne, lecz medialne, zrodzone przez popkulturę, która nie dba o motywację inną niż komercyjna.

Zgodnie z przywołanymi teoriami modalności lektury wypadałoby stwierdzić, że książka Glavinica jest kryminałem, bo jest uważana powszechnie za kryminał i jako kryminał uczyniła imię swego twórcy znanym. Czytana jako literatura niska w niskiej oprawie jest niebywale nudna i drażniąca, z niewydarzonymi wręcz konwencjami kryminału *whodunit*. Czytana jako literatura wysoka w niskiej oprawie odślania złowieszczy zamysł. Trudno powiedzieć, gdzie w takiej hierarchizacji gatunku kończy się intencja autora a zaczyna respons czytelnika. Być może niektóre książki „nie są” kryminałami, choć czyta je się jako takie, inne natomiast „mogłyby nimi być”, do czego wystarczyłaby tylko wystarczająco silna wspólnota interpretacyjna forsująca określoną pojęciowość. Przypomina mi się *Pachnidło*, które czytano już na wszystkie sposoby (również jako kryminał), czy książki Joanny Bator fetowane w Niemczech jako *Generationenromane* (powieści pokoleniowe), na co u nas nikt nie wpadł, bo moda na ten gatunek nas ominęła i w ogóle mamy inne nazwy (nie mówiąc już o tym, że polskiego czytelnika interesują u Bator inne rzeczy niż przewroty pokoleniowe i pamięć kolektywna). Polaryzacja niskiego i wysokiego straciła tutaj na wyrazistości, stąd możliwość „wysokiego kryminału”, czy też, jak ostatnio w przypadku Bator, „wysokiego horroru”. Tak, *Ciemno, prawie noc* „jest” faktycznie horrorem, tak bowiem zachciało wydawnictwo i media, a zatem niech „będzie”. Zaryzykowałbym może nawet stwierdzenie, że tyle tam horroru, co kryminału i powieści obyczajowej, gdyby nie głębokie przekonanie, że te etykiety nie opisują już gatunków, tylko ustanawiają tymczasowe drogowskazy lektury.

Rafał Pokrywka